Nro 11.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 20 maja 1847. Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 6 maja 1847.

Stroje damskie. Oto jest opisanie kilku najmodniejszych całkowitych strojów: Różowa jedwabna suknia, której spodnica trzema szerokiemi w zęby wycinanemi obszyta szlarkami; z gładkim, bardzo wysoko zachodzącym stanikiem, z przepaską z szerokiej wstążki różowej; rękawy długie, w dole roztwarte, z pod których białe muszlinowe dają się widzieć mankietki; biała kitajkowa narzutka dochodząca do pierwszej falbany przy spodnicy, z zaokrąglonemi z przodu końcami, trzy razy wkoło korunką obszyta; różowy, krepowy kapelusz, tiulem i bukietem róż ubrany. Suknia z włoskiej kitajki w różowe i zielone pasy, z dwoma spodnicami, z których pierwsza obszyta szeroką falbaną, druga otwarta z przodu, zaokrąglona w dole, dochodząca do falbany pierwszej spodnicy i obszyta szlarką w rurki układaną; stanik zachodzący na ramiona, z przodu do połowy otwarty, w pasie trzema guzikami zapięty; rękawy gładkie, do łokcia otwarte i szlarką rurkowaną obszyte; kołnierzyk muszlinowy haftowany, dwa razy koło szyi rurkowaną szlarką obszyty; ryżowy kapelusz ubrany piórem, a pod spodem różowemi wstążkami.

Zielona morowa suknia, ubrana w przodzie szerokiemi krepinami, z gładkim, wysoko zachodzącym stanikiem; rękawy długie, gładkie; wizytka z materii w pasy czarne i zielone, ścięta czworobocznie na przodzie, dwa razy szeroką falbaną obszyta; biały krepowy kapelusz z krótką kanią, ubrany trzema fryzowanemi piórkami, przypiętemi z lewego boku; pod spodem ubranie z różowych wstążek.

Suknia z materii w pasy zielone i błękitne, dwa razy krepiną i dwoma rzędami guzików obszyta; stanik gładki, wysoko zachodzący; rękawy gładkie; płaszczyk z mienionej kitajki, bardzo długi i zaokrąglony z tyłu, wykrojony na ramionach i spadający długiemi z przodu końcami, cztery razy wkoło czarną korunką obszyty; biały morowy kapelusz ubrany długiem piórem, prostopadle na kanię położonem.

Suknia z popielatego adamaszku, z gładką spodnicą, z wyciętym i kończastym stanikiem; rękawy półdługie, drugie muszlinowe bufowane; korunkowa chusteczka w kształcie pelerynki; płaszczyk w błękitne i różowe pasy, ścięty czworobocznie z tyłu, zapięty przez całą długość z przodu, dwa razy korunką obszyty; błękitny krepowy kapelusz piórem ubrany.

Stroje męskie. Ukazała się teraz wielka ilość rozmaitego kształtu twin; jedne proste, zapinające się na jedną patkę; drugie na dwie strony zapinane, inne znowu o jednym tylko rzędzie guzików; są i takie, które mają szerokie wyłogi i dwa rzędy guzików.

Przy frakach i surdutach kołnierze robią się krótkie i trochę wypukłe.

Co się tyczy kroju spodni, nic nowego powiedzieć nie można; wielorakim bowiem robią je sposobem; jedne zachowały krój szeroki i szwy wysunięte, inne są więcej obcisłe, i takie zdaje się są więcej modne.

Rycina przedstawia: Suknią z włoskiej kitajki mieniącej się między paliowym a różowym kolorem, z podwójną spodnicą; pierwsza ubrana trzema rzędami rurkowanej szlarki z tej samej co sukna materii, druga krótsza otwarta z przodu, obszyta dwa razy rurkowemi szlarkami, które aż do pasa dochodzą; stanik gładki, półwysoki, z potrójnym szwem i także rurkowaną szlarką obszyty; rękawy gładkie, podobnie jak stanik ubrane; kołnie-

rzyk z haftowanego muszlinu; zielona krepowa kapotka z półzasłoną korunkową i z bukietem z bzu tureckiego.

Suknia z błękitnej kitajki, obszyta szeroką korunką, która podpięta jest z lewego boku fontaziem ze wstążki, i ciągnie się dalej w górę aż do pasa; stanik gładki, otwarty z przodu; rękawy obcisłe w górze, szersze u dołu, korunką obszyte; kołnierzyk muszlinowy; kapelusz biały krepowy, długiem piórem ubrany z wierzchu a u spodu wstążką różową.

Rycina męska przedstawia: Surdut krótki, z długim i wązkim stanem; z mocno rozchodzącemi się połami, z kołnierzem trochę wypukłym.

SALON I ULICA.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Grono pań siedzi dosyć skupione w okolicy kanapy głównej, na której spoczywa główny korpus obserwacyjny, złożony z najdoświadczeńszych pań, rzucających uważnie oczy na wsze strony. Po obu skrzydłach głównego korpusu rozstawiły się leksze zastępy niewieściego wojska, które najprzód krytycznemi spojrzeniami na stroje własne i sąsiedzkie rzucanemi, chce powziąć przekonanie zdrowe o własnych siłach... I wnet zaczyna sie forpocztowa wojna spojrzeń wyzywających, uśmiechów zalotnych, rozmów haczących. I frakowe wojsko zbliżyło się, wzmaga się utarczka; szeregi się rozdzielają, łamią i mieniają; szczególne walczących pary odskakują w zapale, szermierząc z całą zawziętością, aż póki w drugim kącie pokoju, a czasem w którym z przyległych pokojów nie zakończy się walka zwycięstwem, lub rozejmem.

Taki był mniej więcej ogólny widok towarzystwa pani Raińskiej. Szczegółowo zaś zbliżmy się do pana Alfreda, który pobladły i pomęczony zapewne od śniadania jeszcze, przyszedł już poźno i oparty o framugę okna patrzył obojętnie jak Kamilla ustrojona wyglądała jakby kwiat różnobarwny, wystający z czarnego wazonu otaczających ją czarnofrakowych motylów.

— Marzysz Fredziu! zagadał pan Leander Prubka, który przy głównej kanapie zrzuciwszy ciężar żony wprowadzonej przez niego, bujał swobodnie po pokoju, i głową zadartą do góry a tupetem włosów w wieżę ufryzowanych, sztukował jak mógł swoję małą figurkę.

— Nie marzę ale odpoczywam.

— Na mirtach!

— Jeszcze nie.

— Ale jak słyszymy ma to wkrótce nastąpić.

— Dzisiaj podobno ma ta nie nowa dla nas nowina wylecić od pani Raińskiej.

— Więc tedy wchodzisz biedny Fredziu pod nasze sztandary....

— Zdajesz się mnie żałować.

— To nie!.... ale ostrożności mój Fredziu!.... przebiegłości... bo...

— Bo?.... nie rozumiem ciebie.... czyżbyś co wiedział?

— Nie wiele... i nie powinienbym ci to może mówić.... ale wolę byś się dowiedział od przyjaciela... nieprawdaż Fredziu? dodał pan Leander patrząc złośliwie na wyraz twarzy przyjaciela.

— Mów jeżeli chcesz.... odpowiedział Fredzio z półziewnieniem.

— Czy znasz Władysława Żyleckiego?

— Gołego poetę!.... bywa u nas.

— To był najbliższy sąsiad panny Kamilli na wsi.

— Był!.... wiem o tem.

— I zasłyszałem coś o romantycznych przypadkach i przechadzkach po lądzie i po wodzie.

— Cóż mi do tego! co mi do przeszłości.... dla mnie przyszłość!

— Zapewne! ale i przeszłości zostają czasem ślady...

— Dla ludzi głupich mój Leandrze.

— Jesteś jak uważam filozof!....

— Powiedz mi szczerze, gdyby ci w przeddzień ślubu, twój serdeczny przyjaciel rozpowiedział, że twoja narzeczona, która tam teraz w drugim pokoju znika poza herkulesowym Dabowskim... że naprzykład przed twoją znajomością jeszcze miała romans z Dabowskim, czybyś był nie wziął z nią ślubu?

— Moja żona ma pietnaście tysięcy dochodu rocznego.

— A moja narzeczona ma dochodu dwadzieścia i pięć tysięcy.

— A zapewne! cieniej nieco pisnął pan Leander Prubka, i przekonany zupełnie poszedł do drugiego pokoju szukać żony schowanej za parawanem sążnistego Dabowskiego.

A w drugim kącie z słodkim uśmiechem na ustach a wielkim bukietem pod nosem, stała szeroko uwatowana i grubo narużowana pani Raińska; rozmawiała z starym panem Karlińskim, stojącym naprzeciw niej z równie grzecznym uśmiechem, uprzejmem spojrzeniem, spuszczonem skromnie i figlarnie na

złoty łańcuszek od zegarka, który lekko przewracał w palcach.

— Pan się omyliłeś; mówiła pani Raińska wyszczerzając z wesołością czarne zęby.

— *C'est votre memoire madame, qui est en defaut,* odpowiedział równie żartobliwie pan Karliński; *quand on a encore la memoire de coeur, il est bien permis d'oublier tous ces interets d'argent.*

— *Vous êtes fautieux mon vieux ami,...* ale ja pamiętam doskonale....

— *Je peus être votre vieux ami,* ale z sercem zawsze młodem.

— Przestań! przestań żartować; odpowiedziała gospodyni, uderzając go wachlarzem po rękach.... ja wiem z pewnością, żeśmy się umówili o dwadzieścia tysięcy zapłaconych z góry.... przed ślubem.

— Tak jest.... i ja na to przystałem.... a zapewnienie tej sumy jest tu w ręku mojem.... przyjm go pani łaskawie.... *et cessons de parler,* bo patrzą na nas.

— To nic nie szkodzi.... *nous sommes hors de regle....* będą myślić, że mówimy o naszych *tempi passati....* a prócz tego ręczyłeś mi, panie Karliński dobrodzieju, *une rente viagère* dwoch tysięcy.

— Wierz mi pani....

— I wymazanie długu jaki nieboszczyk mąż mój był winien ojcu Kamilki.

— Ależ dług ten wynosi, jeżeli się nie mylę....

— Dziesięć tysięcy pięćset.

— Chciej kochana pani uważać....

— To moje ultymatum, *mon cher ami.*

— *Mais ma bonne amie....*

— Inaczej małżeństwo będzie zerwane.

— Panna Kamilla kocha mojego syna.

— Teraz widzę, że pan młody jeszcze, kiedy wierzy w miłość....

— *Madame, quand je vous regarde.*

— Pan Kalasanty Dabowski, którego fortuna jest czysta, bardzo czysta... oświadczył mi się o rękę Kamilki....

— Ależ panna Kamilla nie chciałaby tego grubego kloca.

— *Pardonnez moi;* Kamilka ma rozum, *elle est pour le solide... c'est un bel homme... et fort comme un hercule.* Ha! ha! ha! Jedno słowo moje... a Dabowski będzie mężem Kamilki.

— *Vous plaisantez chere amie.*

— *C'est selon....* moje ultymatum zatem....

— Przyjęte, przyjęte droga pani moja.... *vous êtes irresistible!*

A w kilka minut potem, gdy pan Alfred zdybał się z Kamillą, zaczęła się między niemi najczulsza rozmowa.

Kamilla spuściła oczy w dół i zarumieniła się. Naiwna i niewinna dziewczyna zmieszała się, gdy jej Alfred powtórzył swoje miłośne wyznanie, a jej wdzięki chwalił słowy francuskiemi.

Alfred aż się rozrzewnił szczerością własnych wyznań i siłą zapału jaki strzelał z oczów a buchał z ust.

— Jaka to śliczna para będzie! ozwała się pani Raińska, która się po rozmowie z panem Karlińskim wcisnęła w okolice kanapy.

— Para?.... pytającym niby głosem zapytały się panie z korpusu obserwacyjnego.

— W maju będzie wesele!...

Szmer powinszowań ozwał się wokoło.

Stary tylko pan Karliński poskrobał się nieco w głowę.

Lecz porzućmy salonowe towarzystwo i powróćmy do naszych przedmiejskich przyjaciół.

Dzień się dla nich zaczął raniej daleko, bo chociażto niedziela, gmin pracowity nie zwykł gnuśnieć w łóżku; toteż o szarej pierwszego brzasku godzinie zaczyna się już ruch na przedmieściu; tu i owdzie zabłyszczą kagankowe światełka, bo i w niedzielę niejedną trzeba dokończyć robotę, która często aż do południa się przeciąga, a od jejto skończenia zależy, czy reszta niedzieli przejdzie wesoło. I dobrze jeszcze spi miasto w miękkich puchach, kiedy się już otwierają drzwi przedmiejskich dworków; gospodynie wybiegają do sąsiadek po ogień, przyczem się cokolwiek pogwarzy o domowych sprawach, a i o sąsiedzkich nieco. Młodsze zaś pokolenie przedmiejskie obojej płci w zaniedbanych strojach, nie dbając na zimno i słotę, wychodzi z dzbankami i konewkami do niedalekiej studni. I przy niejto schodzi się towarzystwo liczniejsze, a pogadanka większego nabywa rozmiaru; w dnie powszednie króciej się odbywa zapewne, bo każdy i każda spieszą do swoich zatrudnień, nie bez tego jednakże, by sobie nawzajem coś nie powiedzieli nowego, i uwag swych nie udzielili; ale w dnie świąteczne zejście przy studni, ten prawdziwy salon pogadankowy gminu ożywia się jaskrawszemi barwami i weselszą przybiera postać. Tu bowiem tajemniejsze zdarzenia całej ulicy wyjeżdżają na plac rozmaicie opowiadane, a sądzone uwagami, które nie są bez trafności i dowcipu; tu się wiążą i rozwiązują przyjaźne i miłośne stosunki; tu serce bolem jakim przepełnione znajduje ulgę w głośnem wyrzuceniu swoich dolegliwości, budzących najczęściej szczere współczucie;

tu się układają głośne plany do zabaw i zajęć całodziennych i tajemniejsze schadzki; tu nareszcie rozwiązują się pojedynki języczne płci pięknej a pięściukowe płci męskiej, kończąc się nieraz wylewem chłodzącej zapał wody, z towarzyszeniem głośnego śmiechu, a najczęściej pogodzeniem. Toteż mimo chłodu, mimo błota, lekką stopą biegną wszyscy do studni i raz i drugi, a mianowicie w te trzy główne dnia epoki: z rana, w południe i w wieczór.

Zacny Karosz obudził się zwyczajem swoim dodnia, i zmówiwszy pacierze głośno, dobitnie i prędko, pomrukiwał niechętnie. Ależ bo dwie ważne zeszły się okoliczności, budzące niechęć szewca; najprzód darmo próbował wycisnąć kilka kropel rannego trunku z wczorajszej flaszecczki; a powtóre z niemałem oburzeniem postrzegł, że para butów nowiuteńkich stoi w kącie niewyszwarcowana i niewyglansowana.

— Poczekaj ty niecnoto! mruczał szukając szwarcu i szczotki.

Przemowa ta obrócona była do jedynego chłopca stałego, jakiego nasz Karosz posiadał, a który nietylko że tej sobie przeznaczonej nie ukończył roboty, ale na kilkakrotne głośne zawołanie majstra nie pojawił swej zawsze okopconej głowy z kuchenki, na której ciepłym popiele odbywał noclegi swoje.

— Sprawię ja ci łaźnią! ciągnął dalej, plując w ręce szczotką uzbrojone, by mu raźniej szła robota. Jurku! Jurku! łotrze! darmoidzie! wołał od czasu do czasu.

— Hultaj! pewnie już z lampartami tego mularza gra w piłkę; mruczał znowu chuchając w coraz więcej połysku nabierające buty.

— Nie gniewaj się ojcze kochany! ozwał się głos za nim słodki.

— Tfu! a ty już wstała, czego się tak zrywać, ta to przecie święta niedziela

— Wyspałam się dosyć.

Klamała biedaczka, bo jak świadczyły jej oczy czerwone i napuchnięte, nie spała noc całą.

— Ja Jurka posłałam do miasta.

— A to po co.... ha?...

— Wkrótce przyjdzie zapewne... ja tylko... i blade Boguni lica okrył rumieniec, a oczy zwilżyły się łzą mimowolną.

Snać Karosz zrozumiał, gdzie Jurka posłała Bogunia, bo spojrzał na nią z pod oka, pokręcił głową i milczał, ale zato mścił się na butach, które też coraz więcej nabywały lustru.

— Ależ wy ojcze, czemu nie uważacie na niedzielę?.... przemówiła Bogunia, by odwrócić uwagę ojcowską.

— Chciałem te buty odnieść koniecznie do tego poczciwego paniska, który mojego Jasia tak kocha... jak to on się nazywa.... ta ty go znasz.

— Ja go nigdy nie widziałam.... tylko nasłuchałam się od naszego Jasia o panu Władysławie Żyleckim.

— Jaś pod nim służył... wtenczas.... kiedyto.... pożal się Boże, dodał z szczerem westchnieniem, mówić o tych czasach.

— Jaś był podoficerem, a pan Władysław oficerem podobno.

I mój Jaś byłby zginął marnie, i nie byłby zginął marnie, gdyby nie to poczciwe panisko.... który rannego pielęgnował jak brat.... daj mu Boże zdrowia. A gdy to odmawiał miał łzy w oczach poczciwy Karosz.

— Ale, ale, przysiągłbym.... mówił po chwili milczenia Karosz, zmieniając ton mowy i wyraz twarzy z tą szybkością zwykłą u gminu, którego wrażenia są silne, ale przelotne; że się jakaś nowina przybije do nas.

Bogunia westchnęła i pomyślała sobie, czy też Jurko nie przyniesie jej wiadomości od malarza, którego już tak dawno nie widziała.

— Bo.... ciągnął dalej Karosz; śniło mi się, żem temu drabowi mularzowi, który sobie żartuje zawsze z szewskiego cechu, twarz zamalował pięścią.

— Może przyjdzie jaka wiadomość od Jasia, który już dawno nie pisał do nas.

— Ale czekajno!.... zawołał nagle Karosz i rzucił buty i szczotkę o ziemię; teraz jak sobie przypominam sen mój cały, można z niego ułożyć całe terno. Bójka, majster mularski, a z boku stał panicz porządnie ubrany, podobno twój malarz, i śmiał się.... podajno mi Boguniu sennik.

I nim jeszcze Bogunia zdołała się ruszyć, Karosz zaczął biegać i szukać po izbie; wysuwał szuflady ze stolika napełnione dratwą, przewracał poskładane na oknach kopyta; aż nareszcie na przypiecku zajrzał stłuczony garnek z smołą, przykryty jakimś brudnym, zamazanym i zatłuszczonym papierem.

To był sennik, ta nadzieje i marzenia rodząca xiążka, źródło tysiąca złudzeń i poezii, którę w najbiedniejszej chacie przedmiejskiej znajdziesz niezawodnie. Porwał Karosz xiążeczkę w rękę, i mrucząc złowrogie przekleństwa na Jurka, który zapewne tę ważną xiążeczkę na tak niegodne użył prze-

znaczenie, zaczął szukać numerów, jakim odpowiadać miała treść snu jego.

— Ciągnienie loterii wczoraj się odbyło; zagadła Bogunia, która podlegając także tej przedmiejskiej słabości, próbowała nieraz loterijnego szczęścia, nie dla siebie, bo biedna dziewczyna daleka była od wszelkiej chciwości, ale dla ukochanego malarza, dla którego, jak jej wewnętrzne mówiło przeczucie, pieniądze wielkie miały znaczenie.

— Wczoraj! krzyknął Karosz, i uderzył się namiętnie w czoło; prawda! prawda!.... takieto moje szczęście; takie terno doskonałe... ręczę że wyszło...

I zapomniawszy czapki nawet, wybiegł na ulicę z sennikiem w ręku. I niedaleką miał odbyć drogę, by stanąć przed loterijną kolekturą. Chociażto tak ranna była jeszcze godzina, a ciągnienie jeszcze wczoraj się odbyło, liczne dosyć zebranie mieszkańców przedmiejskich obojej płci stało przed tablicą, z której czarno malowane numera niememi swemi znakami wyszczerzały się na patrzących. Ale dla nich znaki te były pełne szczególnej wymowności. Toteż żywa toczyła się rozmowa między przytomnemi; prym zaś w rozmowie trzymała znajoma nam Franciszkowa, zapamiętała miłośniczka loterii, w której przepaść rzucała swoje jak wiemy *per fas et nefas* zarobione pieniądze.

— Głupie numera! powtarzała po raz dziesiąty.

I większa część przytomnych powtarzała za nią:

— Trudne numera!

— Same wielkie numera! mówił maleńki garbaty szynkarz z pod trzech zajączków.

Trzeba zaś wiedzieć, że dla biednego gminu, dla którego loteria staje się najsilniejszą namiętnością, jedyną prawie nadzieją poprawienia smutnego losu, wszystkie numera oczywiście, które nie wyszły, są głupie numera, a podług śmiesznego wszystkim tym biedakom właściwego wyobrażenia, numera wielkie są trudniejsze od małych.

Z boku stała biedna trzęsąca się od starości i zimna staruszka, przedająca owoce i pierniki pod posągiem przenajświętszej panny, i okropnie smutne wypatrzyła oczy na tablicę loterijną. Biedaczka marzyła o tylu latach przepędzonych na daremnej gonitwie za szczęściem loterijnem, o zimnie i nędzy w ubogiej chacie, o tylu daremnych modlitwach blagających o jedno terno; o tym ostatnim groszu, który wczoraj zaniesła z taką nadzieją do przepaści loterijnej. I wszystko darmo.

— Jeden numer trafiłam! mówiła cichym głosem, w którym było drzenie głodu, rospaczy i ostatniej nędzy.

— Za czternaście dni może będę szczęśliwsza! mruknęła znowu, i zaczęła myślić, zkądby tu wydostać pieniędzy na nową stawkę.

Pod samą tablicą dwa trzynastoletnie chłopcy obdarte i blade, po raz dziesiąty przeglądali kartki swoje, a w oczach i w twarzy, którym jeszcze doświadczenie życia nie miało czasu nadać wyraźnego piętna, walczyła chciwość z żalem serdecznym.

— Znowu nic! pisnęli głośno, i z szyderstwem złośliwem wystawili język kusemu i rudemu kolektantowi loterijnemu, który przez szklanną szybę drzwi swoich, kpiącemi oczyma przeciągał po zgromadzeniu całem.

— Łatwe!.... bardzo łatwe numera!.... zakrząknęła przez nos mówiąca bezzęba żebraczka na kiju oparta. Dwie trzydziestówek i trzy pięćdziesiątówki.

— Czemużeś nie stawiała? krzyknął basowym głosem mężczyzna wysoki w ceglastym surducie, na którym tu i owdzie pojawiały się źle wytarte białe plamy zdradzające w nim mularza.

— Już jabym miała dziesięć razy tyle kamienic, ileście wy postawili, panie Grzegorzu, gdybym stawiała te wszystkie numera, co mi się wyśniły....

— Czemuż nie powiesz ich komu.... ozwał się Karosz, który z rodzajem radości przekonał się, że jego terno sennikowe nie wyszło.

— Nikt nie chce biednej żebraczce wierzyć.

— I nie każdy ma czem stawiać, ozwał się bas mularza mrugającego dowcipnie na szewca Karosza.

— Nie każdemu chce się łazić po ścianach i dachach i tynkować stare i walące się graty.

— Lepsze moje tynkowanie, niż wasze łatanie starych butów.

— Więcej podobno nowych ja zrobił butów, niż ktoś tam nowych wymurował kamienic.

I kto wie, jak dalekoby zaszła kłótnia między dwoma sąsiadami, kłótnia jak zwykle po przedmieściach z błahego pochodząca powodu, gdyby nie garbaty szynkarz z pod trzech zajączków, który znał doskonale obydwoch, i wiedział, że te wszystkie ich zatargi, pochodzące z jakiegoś nieporozumienia o płot graniczny między dwoma chatami, a trwające zwykle przez tydzień, kończą się co niedziela w jego własnym szynku.

— Dajcieno pokój, czarny i biały! zagadał do nich garbaty szynkarz, sławny na całe przedmieście z dobrze przyrządzanych kiełbas i dowcipu, który niemało przykładał się do wabienia gości. Czarnym zaś i białym zwykł był nazywać szewca Karosza i mularza Grzegorza, stosując tę nazwę do czarności

smoły i białości wapna, z któremi obaj mieli do czynienia.

— A po służbie bożej przyjdźcie do mnie na służbę; ciągnął dalej kiwając garbem i mrugając małemi oczkami; będzie dziś u mnie muzyka i pogrzeb....

— Pogrzeb!.... zawołali przytomni.

— Aha pogrzeb!.... pogrzeb, z przeproszeniem uszów.... świni! którą zamordowałem wczoraj.

Głośny śmiech rozległ się wkoło; a chłopcy połykali ślinkę poklaskując językami.

— Nie wiem panie Szymonie, czy będę mógł przyjść, ozwał się Grzegorz; gdy tymczasem poczciwy Karosz rachował w myśli całą gotówkę swoję i wszelką możliwość dostania onej.

— A to dla czego sąsiedzie?....

— Bo ja podobno inny pogrzeb mieć będę w domu.

— Jaki? ozwało się kilka głosów, i przytomni zbliżali się do Grzegorza z rodzajem politowania, które najszczerzej dzielił Karosz mimo sąsiedzkiej nienawiści.

— Synowa mi bardzo słaba!....

— Poczciwa Karolowa! odezwał się Karosz, i już w tej chwili zapomniał o dawnych zatargach, a nawet o ponętnych zaprosinach grubasa.

Bo u ludu serca są bardzo dobre i dotkliwe na wszelkie nieszczęścia sąsiadów.

I ścisnął Karosz sąsiada Grzegorza za rękę. A Grzegorz mówił dalej:

— I mój Bartek chodzi jak nie swój.

Karosz spuścił oczy w dół....

— Zakochał się biedaczysko po uszy w waszej dziewce, ale wy patrzycie wyżej.

— Sąsiedzie! rzekł Karosz głosem szczerym i podniosł czoło, Bóg świadkiem moim i przenajświętsza patronka moja, że to nie jest w mojej mocy... a kiedyś zrozumicie to sami, co wam się teraz dziwnem wydaje.

— Niech się dzieje wola Boża! odpowiedział Grzegorz; bodajeście tylko panie majster nie żałowali, żeście wpuścili do was tego jakiegoś gładkiego panicza z miasta.... ztamtąd nic do nas dobrego nie przychodzi.

— Nic dobrego! chórem powtórzyli przytomni, a Karosz z dziwnym wyrazem, wyższym nad stan i pozorne wychowanie, groźnie rzucił oczy ku miastu, i ściśnięte pięście w pół podniosł ku niemu.

— Przyjdzie kryska na matyska! ozwał się garbaty Szymon; czekam was sąsiedzi! a teraz spieszę, bo moja Margosia gorąco kąpana.

I zaczęli się rozchodzić; kobiety tylko otoczyły żebraczkę, której przez czas rozmowy i ten i ów wsunął kilka miedziaków do ręki.

— To Wojciechowa! mruczały kobiety między sobą; ona doskonale sny tłumaczy i z nich numera układa.

I zaczęła się długa jeszcze, a wielce zajmująca pogadanka, która Bog wie jakby długo trwała, gdyby nie był się ozwał głos dzwonka z bliskiego kościołka. Za pierwszem jego zabrzmieniem rozpierzchły się kobiety.

— Już na mszą dzwonią! rozszedł się głos między niemi. Już na mszą dzwonią! powtórzyło się po dworkach i chatkach.

I wnet nikogo nie było już na ulicy; nikogo po dworkach i chatach prócz starców, chorych i dzieci; wszyscy poszli do kościołka z tą prawdziwą wiarą ludu, której zupełnie wykorzenić nie potrafiły chociaż niepomału nadwerężyły przykłady zupełnej obojętności religijnej.

A po mszy Karosz wracając do domu zdybał Bogunią, która musiała w domu zostać dla gospodarstwa, którem sama kierowała, biegnącą naprzeciw niemu z listem w ręku.

— Zgadłeś tatku! przybiło się.... przybiło.... wołała z wyrazem radości na twarzy, którę biedaczka kłamała raczej dla ojca, niżeli czuła w sobie.

— List od Jasia! krzyknął Karosz porywając za list. Czy z poczty przynieśli?.... dodał marszcząc czoło na samo przypomnienie, że trzeba zapłacić.

— To ja przyniosłem! ozwał się głos, wychodzącego z furtki parkanowej Władysława Żyleckiego.

— I pan tak długo czekał na tatka.

— Zagadałem się chwilkę z sąsiadami.... a potem człowiek modlił się.

— Nic to nie szkodzi! ja na tem zarobiłem, bo poznałem siostrę poczciwego Jana.... który... zapomniałem dodać... przysłał także dla was.... I zarumieniwszy się z lekka, włożył szewcowi do ręki jeden najskromniejszy papier bankowy.

— A to poczciwy chłopiec! zakrzyczał Karosz, któremu w tej chwili mimowolnie przyszły na myśl smaczne garbusa kiełbasy i doskonałe jego piwko, które znał z doświadczenia.

Bogunia postrzegła rumieniec na twarzy Władysława, i od razu zrozumiała instynktem serca szlachetne jego oszukaństwo.

— Roztrzepaniec! nic nie pisze do mnie, że przysyła pieniądze.

— Do mnie tylko pisał o tem! odpowiedział Władysław, i zdybał w tej chwili wymowne uczuciem dziękczynnem spojrzenie Boguni.

— Czytaj Boguniu!.... większa połowa listu o tobie... bo to powiadam Jegomości, ten Jaś ze wszystkich moich synów najwięcej przywiązany do Boguni.... tać to on ją prawie wypielęgnował, wypieścił, wychuchał.... bo to było dziewczę chorowite!.... a teraz patrz jegomość, jaka hoża i zdrowa....

Władysław w tej chwili spojrzał na Bogunią, która kulejąc szła z listem do swojego alkierza, i wystąpił na twarz jego wyraz zadziwienia i politowania. Karosz to postrzegł, zmienił się, łzy mu się zakręciły w oczach, ale porwany mimowolnie siłą wyrzutu sumienia, zakrzyknął głośno:

— Kulawa biedaczka!.... to ja jej, przeklęty stary pijak, złamałem nogę.

— Co też tatko mówi! zawołała Bogunia biegnąc do niego i całując czule w brudną rękę: to był przypadek...

— Nie Boguniu! mnie lżej jak się przyznam do grzechu, który mnie kamieniem ciężyć będzie na piersi aż do deski grobowej.

Z szczególnem zajęciem człowieka, z duszą i poezią spojrzał Władysław na te dwie twarze szewca i jego córki, dziwnie uszlachetnione w tej chwili uczuciem wyższem, które odznaczało je piętnem prawdziwego szlachectwa moralnego.

— Ale tatku kochany! przerwała prędko Bogunia, pan łaskawy przyszedł tak daleko piechoto; możeby co chciał przekąsić.

— Aj prawda! ja stary głupiec o niczem nie pamiętam; a i buty jegomościne nie wyglansowane jeszcze. Zaraz.... zaraz.... ja to wszystko przyrządzę.

Darmo się wypraszał Władysław, nic nie pomogło, musiał się zostać. I w krótkiej chwili stanęła przed nim przyniesiona przez Karosza potężna kiełbasa sąsiada garbatego, chleb i masło, a oczywiście w dodatku i flaszeczka z doskonałym rosolisem, fabrykowanym na przedmieściu.

— A teraz chwilkę tylko cierpliwości, mój złoty jegomość! buty będą zaraz gotowe; może ten Jurek przeklęty nadejdzie tymczasem, a jeżeli nie, to ja sam zaniosę je za panem; dodał nie bez westchnienia, wyciśniętego myślą o wesołem zgromadzeniu u garbatego Szymona.

— A ty Boguniu! proś jegomości do śniadania, i rozpowiedz mu o naszym Jasiu, jak on ciebie serdecznie kocha, i jaki on dobry.... to jegomości będzie miło słuchać....

I wyszedł poczciwy Karosz, a silne jego szczotką machanie odzywało się przez sieni.

— Mój poczciwy kolega Jan niemało mi nagadał się w czasie naszej wojaczki o rodzinie swojej, a najwięcej o swojej siostrzyczce Boguni; odezwał się Władysław po chwili, zajęty na pozór śniadaniem, które mu Bogunia podsuwała z szczerą gościnnością.

— Był on więcej jak bratem zawsze dla mnie: złote to serce naszego Jasia; po śmierci matki i naszej przyjaciołki Tekli, on mi zastępował swojem uczuciem i matkę, i przyjaciołkę i ojca, który nadto był zawsze zajęty niewdzięcznem rzemiosłem swojem. On się starał, żebym nie zapomniała co mnie Tekla nauczała i gorzko zapracowany swój zarobek cały poświęcał na moje wychowanie. Co jestem, i jeżeli co więcej umiem, i co więcej czuję i rozumiem od moich sąsiadek, tom winna Jasiowi dobremu. Toteż Bóg widzi, ile się napłakałam i namodliłam, gdy pospieszył w szeregi....

— I dobrym był żołnierzem! a jakim towarzyszem, ja najlepiej powiedzieć mogę, który mu nieraz winien byłem życie.

— Toteż mu pan wynadgrodziłeś to łaską swoją.

— Łaską! fe Boguniu!.. dla czegoż nie powiesz przyjaźnią.

— Bo to panie łaskawy tak rzadką jest rzeczą, przyjaźń pana z rzemieślnikiem biednym.

— Nie dla wszystkich!....

— Daj Boże! odpowiedziała Bogunia i westchnęła pomimo woli rzuciwszy ukośne spojrzenie ku drzwiom, a zamarzyła w tej chwili o tym ukochanym swym malarzu, którego tak dawno nie widziała, a tak serdecznie widzieć pragnęła. Władysław chociaż nie dzielił przesądów towarzystwa, do którego urodzeniem i wychowaniem należał, patrzał przecie z niemałem zadziwieniem na tę dziewczynę ludu, której głos, wysłowienie się, ruchy wszystkie i uczucie, które jej mowa zdradzała, nosiły na sobie piętno wyższego stanowiska moralnego, nad to, które ogół ludu gminowi przypisuje; a prócz tego był w całej postawie tej córki ludu wdzięk szczeroty i skromności, który tem więcej miał dla Władysława uroku, im go mniej zdybywał po salonach stołecznych, które odwidzał.

Po rozmowie z Kamillą, która jeszcze mu całą swą okropnością brzmiała w myśli, widok Boguni stawał mu się miłem odetchnieniem, a jej rozmowa prosta sprawiła mu wrażenie pocieszające go prawie po smutnem rozczarowaniu, jakiego doznał od niewiernej i niegodnej kochanki. Z rozczuleniem człowieka czuć umiejącego, i z zapałem poety porównywał te dwie kobiety odległe od siebie o różnicę fałszu i prawdy; i w tej chwili porównał wartość salonu, który się już przeżył, trup zgniły pokostem

tylko sztucznym błyszczący, bez przyszłości wszelkiej; i wartość ulicy, w której najciemniejszych zakątkach między tłumami ludu zaniedbanego i pogardzonego chowa się jeszcze przyszłość żywa i zdrowa. A przypomniawszy sobie żywo rozmowę z Kamillą, przyszło mu na myśl, że nie bez celu przyszedł do domu szewca.

— Spodziewam się; mówił więc po chwili milczenia, że wkrótce nasz Jan poczciwy przyjedzie.

— Przyjedzie! zawołała Bogunia z radością.

— Będę przynajmniej pisał do niego prosząc.... by odbył podróż ważną dla mnie.... a jak wróci, drugą jeszcze mieć będę prośbę i do jego siostry.

— Do mnie?

— Tak jest.... Jan przywiezie dziecko... które chciałbym, by czas jakiś zostało pod opieką twoją i ojca twego.

— Z największą chęcią.... zaczęła Bogunia, i raptem urwała, a rumieniec pokrył jej lica, czy w skutek jakiej myśli tajemnej, pobudzonej przez słowa Władysława, czy może, co podobniej, w skutek kroków usłyszanych w tej chwili na dziedzińcu.

Jakoż otworzyły się drzwi wchodowe, a przez nie ukazała się ruda, czerwona, a brudna sowicie głowa, z wyrazem szczerej głupoty na twarzy, a potem na czole, nad którym wznosiła się czapka, która przez czas i używanie straciła wszelki kształt i pół daszka.

— Pst! pst! wołał na Bogunią zdyszany Jurek postrzegłszy nieznanego gościa, a okiem mrugał i kiwał palcem z wyrazem uroczystym, mającym dowodzić ważność doniesienia jakie przyniosł.

Bogunia zarumieniona cała i drząca od zmieszania pobiegła ku drzwiom, nie zważając na gościa, któremu nie uszło jej pomieszanie.

— Ledwiem go odszukał, mówił Jurko głosem szeptającym, ale tak donośnym, że nietylko Władysław słyszał każde słowo, ale i na ulicy ledwieby je dosłyszeć nie można było.

— Gdzie?.... i oddałeś list mój?

— Zdybałem przypadkiem, bo tam w tej kamiemienicy, co mi panienka mówiła, nikt taki nie mieszka.... i ja już wracałem, aż idąc ulicą szeroką, zobaczyłem jak wchodził do tej kamienicy, co to jegomość o niej mówi, co to przenajświętsza tam panna przybita na murze.

— Do tej?.... mruknęła Bogunia, a złowrogie przeczucie ścisnęło serce biednej dziewczyny.

— Ledwie mnie poznał ... wziął list.... kazał czekać na odpowiedź... ale się widać jakoś rozradził.

— I nic nie odpisał?

— A nic!.... jużciż nic!.... bo.... sam oto już idzie; ledwiem pospieszył tyle, by panience donieść.

Bogunia zapomniała w tej chwili na przytomność Władysława, i tylko oczy zwróciła na drzwi, a rumieniec na twarzy nowych nabrał barw, radości bez miary.

I w tej chwili Jurko odskoczył od drzwi, a przez nie wszedł upragniony kochanek Boguni. I stanął jak wryty przy drzwiach na widok Władysława, na którego twarz wystąpiło takie zadziwienie.

Bogunia niepomna na wszystko wyciągnęła ręce, by czułym uściskiem przywitać lubego, gdy nagle postrzegłszy zmieszany wzrok jego, a za nim idąc wyraz twarzy Władysława, opuściła ręce i mimowolnie strwożona pobladła okropnie.

— Nie spodziewałem się zastać pana.... mruknął przecie kochanek Boguni, postępując parę kroków dalej.

— Tem mniej ja spodziewałem się tu zdybać z panem....

Szybkim jak myśl ruchem przyskoczył malarz do Władysława i szepnął mu:

— Zmiłuj się pan nie nazywaj mnie; jutro opowiem panu wszystko.

Władysław nic nie odpowiedział, rzucił tylko spojrzenie na młodego malarza, zaczęte pogardą, które skończył politowaniem, gdy wzrok jego padł na Bogunię, która tej sceny nie rozumiała wprawdzie, ale tysiącem bolów niepewności i bojaźni, gorszych od najokropniejszej pewności uczuła ją w głębi serca swego.

— Żegnam pannę Bogunię; wyrzekł głosem słodszym prawie niż wprzódy.... Rozmówię się obszerniej z panem Karoszem.... a pisząc do twego brata pani, do mego kochanego towarzysza broni, załączę twoje ukłony.

— Niech mnie biedną kocha zawsze! wyjękła Bogunia głosem, w którym przebijały się łzy i łkania.

I wyszedł Władysław lekko skłoniwszy się młodemu malarzowi. A w sieni już go zdybał Karosz, niosący z tryumfującą postawą parę butów świecących jak zwierciadło.

— To mi buty! krzyczał dumnie, ja je sam zrobiłem dla jegomości.

— Dziękuję ci panie Karosz; odpowiedział Władysław i sięgnął do kieszeni.

— O nie! nie! ja nie dla tego chwaliłem.... ja jegomości więcej, i daleko więcej winien.... niech mi jegomość nie płaci, już ja sam przyjdę temi dniami porachować się. Jurku! szatański Jurku! zasmolony

Jurku! wołał dalej na znanego nam chłopca, który z napełnioną doskonale gębą, pojawił się wreszcie.

— Weź te buty... i zanieś za jegomością .. a powalaj mi ich, albo opuść w błoto... to zobaczysz.

— Do widzenia się panie Karosz!

— Ja jegomości odprowadzę do ulicy, bo i ja wychodzę, by się trochę rozerwać.

I uśmiechnął się biedny Karosz przypomniawszy sobie gody, jakie go czekają pod trzema zajączkami.

— Masz podobno gościa u siebie? ozwał się Władysław nie bez ciekawości.

— Widziałem.... widziałem! odpowiedział Karosz; to ten malarz; biedna Bogunia musi się cieszyć.

— Malarz?

— Aha!.. przyszły zięć mój.

— On się żeni z Bogunią?....

— Jegomość się dziwi!

— Nie! ale.....

— Coż robić.... i jabym może wolał, żeby poszła za syna Grzegorzowego, chociaż my to niby ze starym się kłócimy.... ale nie! nie! dodał ciszej nieco i jakby do siebie. Bogunia nie może być żoną prostego mularza. Bodaj tylko z tym była szczęśliwą.... bo mi coś trochę na panicza zakrawa.... ale przysiągł jej.... a biedna dziewczyna kocha go.... więcej podobno niż życie. O gdyby on ją nie zrobił szczęśliwą, albo śmiał, broń Boże, porzucić... poznałby, że z Karoszem, choć Karosz prosty szewc, nie można żartować.... a mój Jaś zabiłby go.... bo biedny Jaś, to dla Boguni skoczyłby w piekło.,.. ot gdyby!.... ale co się stało, to się już odstać nie może.... Całuję nóżki jegomości! dodał zafrasowany nieco Karosz i pogonił do szynkowni pod trzema zajączkami, zkąd na całą ulicę rozchodziły się śmiechy gości, piskliwy głos garbatego gospodarza, tony muzyczne i woń skwarków zazdroszczona niepospolicie przez kilku obdartych chłopców, ktorzy z pustej ulicy wyciągali uszy i nosy swoje ku gospodzie trzechzajączkowej.

Władysława twarz pokrył wyraz dziwnie smutny. Chciał już się oddalić, zrobił nawet kilka kroków ku miastu, ale jakby siłą jaką niewidzialną wstrzymany wrócił nazad, i wyprawiwszy Jurka z butami pod pozorem jakiegoś w tej stronie miasta interesu, do czego dodał mu kilka grajcarów, został sam na ulicy. A obejrzawszy się, czy go kto nie widzi, wsunął się za parkan podziurawiony, przytykający do zagrody szewca, opasujący starą i walącą się pustkę.

Po wyjściu Władysława, młody malarz zamiast czułego przywitania, które sobie Bogunia przez tyle dni tak uroczo wyobrażała, przyskoczył do niej z wyrazem niesmaku, i zapytał:

— Co on tu robił?.... czy często przychodzi?

— Ja go po raz pierwszy w życiu widziałam; odpowiedziała Bogunia, tłómacząc sobie to pytanie kochanka na karb chwilowej jego zazdrości. To przyjaciel i towarzysz mego brata, jak ci sam mówił.

— Tego szewca czy krawca samborskiego....

— Ty znasz pana Władysława? przerwała Bogunia te przykre słowa kochanka, którego z przykrością słyszała już nieraz mówiącego z taką pogardą o bracie.

— A znam!.... hołysz!....

— Wszak i my oboje nic nie mamy!

— Tak! tak!... poszli przecie!... ja nie mam czasu.

— Więc po dwóch tygodniach nie masz ani chwili czasu dla twojej biednej Boguni; rzekła biedna dziewczyna z smutkiem i słodyczą.

— Dziecko jesteś moja Boguniu! odpowiedział malarz obojętnie.... Ja nie mam czasu chodzić tak daleko....

— A dawniej?....

— Znowu wymówki!....

— Nie mój luby! ja cię nadto kocham i nadto ufam tobie, bym ci robiła wymówki.

— Słuchaj mnie Boguniu! musisz koniecznie przyjść do mnie dzisiaj...idzie bowiem o rzecz ważną dla ciebie i dla mnie.

— Ważną! zawołała dziewczyna wpatrując się w twarz zimną kochanka.

— I bardzo ważną!....

— Mój drogi! przerwała mu Bogunia, która jego słów nie dosłyszała nawet, bo ją w tej chwili inna myśl zajmowała; powiedz mi, co robiłeś w tym domu z kamienną Bogarodzicą na ulicy szerokiej?

— Zkąd to pytanie?.... czyliż jako malarz, nie mogę bywać w domach majętnych?

— Kochanku! ty nie jesteś szczery ze mną!.... ja się tego domu boję....

— Boisz? a to jest pocieszne.... czyż znasz ten dom i jego mieszkańców?....

— Nie znam... ale mój ojciec mówił mi nieraz, a wzrok jego i cały wyraz twarzy więcej jeszcze mówił... że to dom przeklęty... z tego domu wyszło nieszczęście całego życia jego...

— Jakie nieszczęście? zapytał malarz z rodzajem ciekawości.

— Nie wiem mój luby? ale mimowolny strach mnie przejął, gdym się dowiedziała, że ty chodzisz do tego domu... z niego boję się, by i dla mnie nie wyszło nieszczęście całego życia mego.... Mój luby! ja ciebie tak kocham.... ja nie mam nic na świecie prócz twojej miłości, na której po Bogu opieram się zupełnie. Czy kochasz mnie mój drogi?

— Kocham! kocham! ty małe dziecko, któremu stary twój ojciec rozpowiadał jakieś romantyczne bajki o złowrogiej kamienicy.... pozwól niech cię wyśmieję.... gdyby to kto zasłyszał, gotówby napisać fantastyczną powieść o złowrogim domu.... Kocham cię dziecko.... i dziś jeszcze więcej przekonam cię o tem.... i dla tego musisz duszko, musisz przyjść koniecznie.... a teraz spieszyć muszę....

— Czekaj luby.... ja cię odprowadzę.

— Ale tylko do furtki! by nas nie widzieli ludzie.

— Ja dziewczyna nie wstydzę się, bo coż jest wstyd naprzeciw tego uczucia, jakie ja mam dla ciebie. Jeżeli każesz przyjdę, ale powiedz mi przecie, dla czego tak dziś koniecznie.... dla czego tak naglisz?

— Więc kiedy chcesz wiedzieć koniecznie; odpowiedział jej malarz oglądając się na wszystkie strony, przyspieszonym głosem, jakby chciał jak najprędzej pozbyć się tej rozmowy: mój stryj przyjechał, i chce ciebie widzieć....

**

— Twój stryj! zawołała dziewczyna głosem, w którym radość i przestrach odbijały się kolejno. Twój stryj przyjechał, i chce mnie widzieć!....

— Tak! tak! odpowiedział malarz przyspieszając kroku.

— Czyteż ja mu się podobam? zapytała dziewczyna naiwnie z pół uśmiechem. O mój Boże ty widzisz! mówiła dalej, a rozczulenie drżało w jej mowie; że nie idzie mi o ten majątek twego stryja .. mnie o ciebie tylko idzie, i czy będę ja umiała powiedzieć mu to wszystko co czuję, aby pojął moję miłość bez granic.... kochanku! czy on bardzo rozgniewany? czy surowy? czy on bardzo straszny?....

— Ciszej! ciszej!... zdało mi się, że się ktoś ruszył za parkanem; przerwał cierpko malarz, i oglądał się z wielką przezornością na wszystkie strony.

W tej chwili stanęli u furtki ogrodowej, a tuż koło niej przez cienką ścianę dziurawego parkana stał Władysław.

— Do widzenia się więc Boguniu! wyrzekł pospiesznie młodzieniec i pospieszniej jeszcze lekkie rzucił pocałowanie na jej śliczne usta, lecz ona porwała go za rękę i wstrzymawszy go, oddała pocałunek, pod którego ognistem dotknięciem mimowolnie zadrżał zakłopotany i niespokojny malarz. Biednej Boguni serce przebiegło jakieś złowrogie przeczucie, szeptające jej, że to ostatni może już pocałunek.

— Nie odchodź jeszcze mój drogi! mówiła do niego, a w myśli szukała słów, któreby zatrzymać go zdołały. A!... widzisz jak dobrze się stało, żem cię zatrzymała trochę.... wszak nie mówiłeś mi, gdzie mieszkasz teraz; a Jurko powiadał, że w dawniejszem pomieszkaniu nie wiedzą nic o tobie...

— A tak!.... wyniosłem się i zapomniałem powiedzieć; ja mieszkam teraz i schyliwszy się ku parkanowi o który oparta stała Bogunia, cichszym głosem szepnął jej nazwisko ulicy i numer domu. Po prawej stronie od schodów na pierwszem piętrze.

Deską oddzielony tylko Władysław, usłyszał zaszeptane słowa, i ledwie wstrzymał krzyk zadziwienia. Jeszcze jeden pocałunek chłodny, i pocałunek gorący, i pognał młody malarz ku miastu. Bogunia stała jeszcze chwilę i patrzała za nim, póki nie znikł na zakręcie ulicy; biedaczce ciemno się w oczach zrobiło, jakby życie uleciało wraz z kochankiem: bo jej serce i to szczęście chwilowe, jakiego doznała patrząc na lubą twarz, pobiegły za nim.

A gdy wróciła do domu, Władysław wyszedł z ukrycia i milcząc postępował powoli a rozmaite myśli krzyżowały mu się po głowie.

— Dziwny przypadek! mówił do siebie; dom nazwany po cichu przez niego, to dom, w którym i ja mieszkam.... mamże to uważać jako palec opatrzności!.... I jestże warta dziewczyna, która go tak zapalczywie całowała, bym ją przestrzegł i ratował?... zepsuta już może, i rozpustna!.. na cóż mam mieszać się w miłostki, podobne może do tylu innych miłostek zmysłowych, których pełno w mieście choć mi ich przypadek nie odkrył.. Ale to siostra poczciwego Jana, któremu winien jestem życie, którego umysł prosty lepszem wychowaniem nie wykształcony nabierał wzniosłości, poezyjnego polotu, gdy mówił o tej siostrze swojej i o swojem do niej przywiązaniu bezgranicznem.

I wątpliwym myślom, sprzecznym chęciom oddany wrócił Władysław do siebie.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

PIERWSZA NOC *)

z Götego.

Druidka.

Hożo, radośnie,
Ziemia już w wiośnie
Strąca z siebie zimne lody,
I biały śnieg
Już z pola zbiegł,
Mają się nasze zagrody.
Na górze zima
Jeszcze śnieg trzyma.
My starym naszym zwyczajem
Do szczytu dążymy,
Tam Bogu hołdy oddajem,
Płomień niecimy,
Serca się wzniosą jak dymy.

Druidowie.

My starym naszym zwyczajem
Święty nasz ogień niecimy
I hołdy Bogu oddajem,
W górę, tam w górę dążymy!

Jeden z ludu.

Bracia! śród wyprawy waszej
Groźba żali was nie straszy?
Czyliż wam nieznane prawo
Tych ciemięzców, naszych panów!
Ci polują swą obławą
Na przestępców, na poganów?
Nasze żony, nasze dzieci
Mordują żelazem:
Wszyscy razem
Wpadniem w zastawione sieci.

Druidka.

Czyja dziś ręka
Ofiar się lęka,
Niech dźwiga jarzmo łańcucha.
Swoboda w lesie!
Tam stos się wzniesie
I w pożar rozdmucha.
A my ukryci
Zostaniem, póki dzień świeci.
Męże będą dla obrony
Waszych żon i waszych dzieci,
Noc gdy spuści swe zasłony
Spełnim obrzęd, co poleci.

Chór stróżów.

Każdy miejsce weźmie swoje,
W puszczy straż ustawić w rzędy,
My stróżujmy, oni swoje
Święte niech pełnią obrzędy.

Stróż

Nowowierczych tych kapłanów
Otumanim sztuką naszą,
Puścim na nich tych szatanów,
Któremi nas oni straszą:
Świecić, dzwonić w żelaziska,
Szczęk żelaza, jęk grobowy
Niech uderzy o skaliska,
A z dąbrowy
Zawyje puhanie sowy.

---

*) Die Walpurgisnacht.

Chór stróżów.

Nie to własne ich straszydła,
Nieście haki, nieście widła,
Bić i dzwonić w żelaziska,
Szczęk uderzy o skaliska,
A głos sowy
Niech im wyje od dąbrowy.

Druidka.

W naszym ucisku
Przy ogniów błysku
Bogu my składamy cześć,
I zejdzie zorze
Temu, co może
Czyste serce tobie nieść.
Potężny tyś!
Dozwalasz dziś
Zwycięstwa wrogom twym!
W płomieniu się czyszczą dymy.
My oczyścim naszą wiarę:
Choć obrządki tracim stare,
Naszej wiary nie stracimy.

Stróż Chrześcian.

Pomóż! pomóż! ku nam piekło
Sunie zgrają swoją wściekłą;
Widzisz straszną tę potworę,
Cała w strasznym ogniu gore,
Wilkołaki, smocze plemię
Lec, skrzydłem bije w ziemię.
Jaka wrzawa, jaki trzask!
Uciekajmy ztąd co ducha:
Od szatana bije blask,
Z ziemi bucha
Dym, piekielna zawierucha.

Chór stróżów Chrześcian.

Potwory obsiadły ziemię,
Wilkołaki, smocze plemię.
Jaka wrzawa, jaki trzask!
Patrz, od czarta bije blask,
Z ziemi bucha
Dym, piekielna zawierucha.

Chór Druidów.

Płomienie oczyszczą dymy
Tak oczyścim naszą wiarę,
Choć obrządki stracim stare
Światła nigdy nie stracimy.

A. Gorczyński.

KONCERTA LISZTA.

Nie myślcie czytelnicy, abym wspominając o najpierwszym w swoim zawodzie talencie, wpadał jak zwykle bywa w uniesienia Wykrzyknikami was nudzić nie będę. Dosyć już popoiła dusz exaltacia, bo z jej kieliszka pociągały chciwie nawet różane usteczka, które zwykle odstrasza sam zapach mocnego trunku. Artysta, który coś bardzo trudnego przedsiębierze i wykonywa, jest zawsze wielkim artystą. A Liszt popoił nietylko panów naszych, którzy i bez niego pić lubią, ale nawet panie nasze i panienki. Nie sądzę, abym przez to wyraźnie stał się przykrym komukolwiek, bo mają i trunki mocne swoje przywileje. I tak pijaństwo fizyczne jest obrzydliwe, ale pijaństwo moralne urocze. Wiele pań, chcąc się tym wdziękiem zalecić, utrzymuje, że ich dusze są zawsze pijane, czyli wyrażając się słowem piękniejszem, exaltowane. Rzecz to prosta, że dobry artysta może sztuką swoją dusze ludzkie rzucić ze stanu spokojnego, ze stanu rozwagi, w stan niespokojny, w uniesienie i szał; i to właśnie nazywam upojeniem duszy. Ale dusza nasza, jak państwu wiadomo, nie siedzi sobie na dłoni, tylko ma gdzieś odpowiednie wielmożności swojej nieznane gniazdeczko, a czy to z pokarmem czy z napojem, trzeba się do niej dostawać drogą zwierzęcą, drogą ciała. Tubym mógł szeroce i *ab ovo* (co po polsku brzmi tylko na wielkanoc dobrze) rozprawiać o ziemskiem siedlisku tego niebiańskiego w nas pierwiastku, to jest czy w głowie mieszka duszeczka, czy w piersi, i pokazałoby się, żem nie lada psycholog; ale nie o tem mowa. Sztuki piękne dostają się do duszy naszej przez zmysły, a nie myślę wcale tego dowodzić, iż, aby czuć piękności muzyki, trzeba być najprzód niegłuchym. Ale muzyka działa w ogólności na nerwy, a tym sposobem dotykając i drażniąc całą powierzchnię ciała naszego, czyni ze wszystkich sztuk najsilniejsze wrażenie fizyczne. Wrażenie duchowe bezpośrednio zatem następuje, bo w tej siatce nerwowej tłucze się dusza jak ptaszek, a mistrz tą siatką targając do woli miota ptaszyną na prawo i na lewo, do góry i na dół. Za silnem wrażeniem fizycznem idzie, że kiedy w innem umnictwie niczem zastąpić się nie da pomysł (kompozycia) właściwie sztukę stanowiący, to w muzyce w wielkiej części zastąpić go można wykonaniem. Nie stosuję tego do Liszta i nie będę rozbierał gry jego, czy więcej działa wykonaniem, czy duchem, bo znawcą muzyki nie jestem; nie mam też ochoty rozpływać się przed publicznością w ogólnikach ach! cudne, ach! czarodziejskie, ach! ach! bo tego wszystkiego miło jest doświadczać, ale opowiadanie nudzi. Ja tylko z powodu Liszta i jego koncertów wyrzucam kilka uwag pobieżnych, aby lekko odeszły jak lekko przyszły. Każdy koncert jest deklamacią. Dający wygłasza swoje lub cudze utwory. Rzeczywistą wewnętrzną wartością muzyki jest poezia Dla czegoż najpiękniejsza deklamacia najpiękniejszego utworu poetyckiego nie czyni takiego wrażenia, jak deklamacia muzyczna? Bo ludziom najbardziej podoba się ich miłość własna, a muzyka najwięcej dogadza ich próżności i zarozumieniu, bo nie staje w sprzeczności z wyobrażeniami, owszem daje się pojmować według pojęć każdego. Pojmowanie muzyki jest zaiste duchową czynnością. Ale tony muzyki nie mają pewnego koniecznego znaczenia, jak naprzykład słowa Każdy wkłada w nie znaczenie według swojego usposobienia, według swoich potrzeb, według mocy lab słabości swej duszy, według swego znawstwa i drażliwości swojej. Wystawmy sobie siedzący na koncercie pęcherz, nadęty próżnościami i wyobrażeniem o wielkości swojej. Gdyby go w czasie grzmiących i wzniosłych tonów nagle zapytać co ta gra znaczy? odpowiedziałby w pierwszem zapomnieniu: że pęcherz jest dygnitarzem! że pęcherz jest dygnitarzem!... lub coś podobnego na ten temat. Patrz obok niego pochwycił ktoś za rękojeść, chce dobyć szabli, zda mu się być na wojskowym przeglądzie, lub na polu bitwy, oto starły się wojska, z dział biją, dźwięczy broń, świszczą kule, krew się leje, migają przed oczyma wstążeczki i krzyżyki, a z kłębów

dymu jakby z obłoków słychać podnoszącą się pieśń zwycięstwa. To hymn nieśmiertelnej sławy, pomyślał stojący w kąciku skromny poeta, widzę ją unoszącą się z laurowym wieńcem w dłoni. Marzenia moje, moje ideały, przywdziały suknią harmonij, oto dzwonią krynice, szumią lasy, słychać łoskot nawalnic, z głębi lasów smętno dolatuje płacz błądzącej niewiasty, a w klasztorze niczem nieprzerwana pobożność odspiewuje *ave Maria*. Tejże chwili w innem miejscu sali wykwintnie ubrany mężczyzna pochylił głowę, chciwie wpatruje się w ziemię, prędko zakocił rękawy, jakby się miał zabierać do liczenia pieniędzy, sypiących się bez ustanku na marmurową płytę. Nawet zimnemu filozofowi mieni się w mózgu, dobiera klucza do zagadek przyrody, do psychologicznych tajemnic, i widzi jak na półmisku Fichtego jajecznicę (*ich bin ich*). Teraz przekonać się możesz, powiada sąsiadowi brodacz gęsto zarośnięty, że te pojedyncze tony błądząc nieprzeszkodzenie, swobodnie, tworzą przecież wielką, piękną harmonię: Że zatem gminowładztwo... Ależbo te rozpierzchnięte tony, przerwał sąsiad gładko ogolony, wiąże w jedność silna dłoń mistrza; bez samowoli jego rozprzęgłyby się i zatraciły bezładnie. Nie samowola to, nie dowolność, powiada trzeci w faworytach bez brody, to są pewne, niezachwiane ustawy, to są stare przepisy, podług których mistrz włada, to konstytucia. Coż dopiero, kiedy się lać zaczną tony odpowiadające częstszym stosunkom, liczniejszym położeniom, naprzykład miękie, przypominające schadzki kochanków, szmer rozmow tajemnych, objęcia i całusy. Coraz bardziej rozpłomieniają się lica, coraz mocniej iskrzą oczy, ale przed niemi świat znika. Człowiek staje się tylko uchem i czuciem. Magdaleny jak magnesowe igły drgają w osadzie swojej i trzepią bezprzytomnie rękami, jak ptactwo na deszcz skrzydłami po skwarnym południu. O! one kochają sztukę, duszą i ciałem. Najutajeńsza zalotność na wierzch wypływa, po twarzach błyszczy lubość bezprzytomna, usta ściągają się i przedłużają i wypinają naprzód, i dosyć się nadstawić, aby nawet autor niniejszego artykułu dostał bardzo niezasłużonego całuska, tem bardziej, kiedy go zasłużony pominął, jak nam donosi z całą naiwnością rymarz z Sidorowa. Tymczasem zwracając oczy młoda twarzyczka, powiada w uszko towarzyszce: Ach! jakiżto świat niesprawiedliwy! Wycisnął na rozwiązłości piętno bezwstydu i hańby, a oklaskuje ją publicznie, a lubi tajemnie. Pobożniś zaś podniosłszy ręce i oczy do sufitu, wzdycha w tęschliwem uniesieniu: to jest miłość aniołów, to są modlitwy świętych. Muzyka jest wszystkiem dla wszystkich. To wojna, to pokój, to radość, to płacz, to pogrzeb, to bal, to puszcza, to ogród, to step, to życie, to skon, to otchłań, to raj, to miłość szczęśliwa, to jęk nędzy, to skrzydło wiary, to żer materializmu. Przysłowie mówi: że się nie urodził, coby każdemu dogodził. Otoż właśnie jest wadą muzyki, że każdemu dogadza, że mając jako sztuka znaczenie duchowe, nie ma obyczajowej dążności. Ona łagodzi dzikość, krzyczą estetycy, gładzi szorstkość, skłania ku ugrzecznieniu. Ależbo Europa tak jest ułagodzona, że przeszła w drugą ostateczność, w grzecznisiostwo, w zniewieściałość i w miękość; już jej przeciwnie potrzeba hartu męskości i surowej prawdy. Jednemu tylko narodowi jeszcze graćby można dla okrzesania jego gburowatości, i ten też naród najlepiej płaci za to. Ludzi dzielą stronnictwa i różność pojęć duchowych, więc gdzie wszyscy zadowoleni, tam musi być omamienie, oszukaństwo jakby w salonie. Między stronnictwami ma któreś niesłuszność. A przecież demokrata i arystokrata, republikanin i monarchista, taki i owaki, i zły i dobry, widzą w muzyce uidealizowane objawienie swych zasad. A że muzyka tych zasad nigdy w życie nie wprowadza i nie rozwija dalej, zatem nigdy się nie skompromituje, zawsze jest dobrą. Dla takiego pobłażania, dla tej tolerancii, jest muzyka prawdziwem salonowem umnictwem. Bo salon nie ocenia rozumu ani serca, nie wchodzi w charaktery, skłonności, nałogi, ani w wielkie wady, ani w wielkie przymioty, byle była zachowana powierzchowność według pewnych wzorów.

Allzuscharf wisst Ihr macht schartig,
Tadeln dürft Ihr, aber artig!
Räsoniren, aber sacht!
Flüstern müsst Ihr, niemals sprechen,
Immer biegen, niemals brechen;
Jeder Mensch hat seine Schwächen,
Jeder Tag hat seine Nacht.
Seid doch billig,
Seid doch willig,
Nehmt die Billigkeit in Acht!

Ale muzyka dogadzając wszystkim, jest zarazem najwyborniejszym żywiołem miłości bliźniego co dało może pierwszy pomysł do zaprowadzenia muzyki kościelnej. Ponieważ zaś miłość w zastosowaniu do płci pięknej jest jeszcze lepszą miłością, zatem muzyka jest przedstawicielką miłości, jej wysłannikiem, któremu należy się haracz. Czyli innemi słowami, kto nie gra niech kocha; a kto gra, tak samo jakby kochał. Grać tedy przed publicznością, znaczy kochać publiczność, i jakżeż publiczność nie miałaby być wzajemną? To jednak oczywista: że im kto gra lepiej tem lepiej kocha, a za wielką miłość tylko należy się wielka wzajemność. Liszt powiadają ma wielką miłość.

L. D-B.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.